DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 1 kwietnia 1889 r. — Nr. 10.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedyńczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f.
Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

DWA LISTY.

NOWELKA Z PISM POŚMIERTNYCH

Pauliny z L. Wilkońskiej.

(Dokończenie.)

Dnia pewnego siedziała pani Skaliniecka pod wystawą dworu z robotą w ręku, a Jan czytał głośno jakiś nowy utwor jednego z ulubionych poetów naszych, gdy przyniesiono torbę pocztową; były w niej gazety i list do Jana.

Pani Skaliniecka spojrzała — poznała pismo pana Swierzyckiego — i zapłonęła.

Jan złamał pieczątkę i począł czytać. Matka patrzyła się na niego — nagle wionęła chmura na pogodne czoło młodziana, ściągnęły się usta, a lica pobladły. Pobladła i matka i niby lekkie przebiegło ją drżenie. Jan porwał się i pobiegł do swojego pokoju. Pani Skaliniecka porzuciła robotę, widocznie zaniepokojona wielce i weszła do salonu. Przycisnęła splecione dłonie do piersi, pochyliła czoło i szybko pokój przebiegać zaczęła. Długa potrwała chwila i upłynęła niemal godzina, która biednej kobiecie zdawała się wiekiem. Potem posłyszała głos syna i przystanęła, nadsłuchając.

Pobojowczyk przebiegł przed oknami i znowu było cicho. Serce pani Skalinieckiej kołatało, że aż nie starczyło jej tchu i usiąść musiała.

Po chwili przyprowadził stajenny wierzchowca panicza. Posłyszała szybkie kroki syna — widziała, jak dosiadł siwka i cwałem ruszył z dziedzińca.

— Co to? Co to znaczy? — poszepnęła, bardziej jeszcze zbladła i załamując ręce, zalała się łzami.

Potem porwała się nagle i pobiegła do pokoju syna. Obejrzała się po nim — i przycisnęła rękę do serca; wszystko tutaj żywym obrazem ukochanego tchnęło dziecka. Jednę ścianę zdobiły wizerunki wsławionych w narodzie mężów, zebrane staraniem młodziana; drugą dwie duże szafy oszklone z książkami — skupionemi także przez syna — bo Janek od lat najmłodszych każdy grosz oszczędzony obracał na kupno książek — i też książka najmilszym na imieniny była mu wiązarkiem. Ojciec żartem zwykł go był nazywać swoim *kochanym bibliofilem*, i z pociechą serca temu jego zamiłowaniu dogadzał. Matka przypomniała sobie to wszystko i znowu łzą jej zaszła źrenica.

Na trzeciej ścianie wisiała wielka mapa Polski, ponad łóżkiem krucyfiks — obrazy ojca i matki i fotografia Zosi.

Kilka naukowych książek leżało na stoliku przy łóżku — obok świecznik z niedopaloną świecą, snać późno w wieczor czytywał.

Pani Skaliniecka obejrzała się na wszystko po raz drugi i trzeci — i oczy jej na biórku spoczyły; było zamknięte — ale klucz tkwił. Niepewnym krokiem przystąpiła bliżej. Wyjrzała mimowoli przez okno i tam, na dalekiem polu, dojrzała cwałującego na siwku syna, a za nim czarnego kruczka — i niby odetchnęła wolniej. Wyciągnęła rękę do biórka — i znowu ją opuściła, widocznie jakaś w niej wewnętrzna toczyła się walka.

— Przecież to mój syn! moje dziecko! — poszepnęła — mam prawo! . . „Nie masz takiego prawa — niby jej głos odpowiedział wewnętrzny — zdradzasz jego dobrą wiarę i zaufanie.“ — Zacisnęła dłońmi oczy i lekko zadrżała. Po chwili znowu wyjrzała przez okno, siwek już był pod lasem — a kruczka już nie dojrzała.

— Dla naszego dobra! Dla szczęścia naszego! — poszepnęła znowu. — Przepuść mi, o! Boże — i nagłem poruszeniem odemknęła klapę. Przerażona cofnęła się o krok jeden — a wzrok jej spoczął gorączkowo na liście pana Swierzyckiego, przy którym leżał arkuszyk welinowy, świeżo ręką syna zapisany.

Pani Skaliniecka ciężko westchnęła podjęła list, który intrygował ją tyle; rozwinęła go i spokojna na pozor — lecz można było uderzenia jej serca posłyszeć — nieruchoma i blada przeczytała, co następuje:

„Drogi mój Janku!

Czyli już wiesz, lub nie wiesz jeszcze, to zawsze w smutnej, a dotkliwej materyi mam dziś obowiązek pomówienia z Tobą.

Wczoraj był u mnie pan Runowski i oświadczył mi, że pozyskał słowo matki Twojej i żeni się z nią.

Wiadomość ta raziła mnie piorunem, ale cóż miałem mówić?! — Byłem grzeczny dla pana Runowskiego — i na tem wszystko. Zatrzymałem go na noc, a dziś, gdy odjechał, siadam i piszę do Ciebie.

Zmartwiłem się na wskroś tem postanowieniem matki Twojej — jakkolwiek mam wiarę w jej charakter i w jej serce dla Was. Rozumiem, że jest jeszcze dość młoda i ładna. Pan Runowski podobać się może — i nic nie mam przeciwko niemu. Ale.... jest on o jakie lat ośm, lub dziesięć młodszym od niej!.. — O wątpliwości wszelako owego szczęścia, które sobie pani Skaliniecka zgotować zamyśla, uwagi nie poczynię żadnej; ani też o powodach, jakie pana Runowskiego skłonić mogły do starania się o względy i rękę matki waszej — bo nie chcę i najlżejszej rzucić myśli, którąbym jemu ubliżył — a więc mówmy raczej o Was.

Ty, mój Janku, będziesz więcej poza domem matki, osiądziesz na swoim chlebie, i niewiele będziesz zostawał z ojczymem. Ależ Zosia! Biedna Zosia! Jakiż to będzie jej stosunek, panny już niemal dorosłej wobec młodego ojczyma! Jakież stanie się jej położenie w domu matki? — Biedaczka cieszy się na powrot pod strzechę rodzinną — a dom ten zobczeje dla niej, bo obcy w nim człowiek zawodzić będzie! — Matka jej będzie pospołu z nowym małżonkiem, a córka nieboszczyka pozostanie zawsze sama i osierocona! — A jeszcze... a jeszcze — powiedzmy szczerą prawdę, mój Janku — czyliż jej to zamężcie matki do ustalenia własnego losu, do pojścia za mąż nie zaszkodzi?!.. Świat różnie, przeróżnie na wszystko patrzy — i raczej wszędzie złe najłacniej widzi. Nie chcę tu wchodzić w żadne drobiazgowe rozbiory, bo i tego, com już powiedział, jest dosyć.

Wielkie są obowiązki dziecka dla rodziców i niczem niezakreślonych wymagają poświęceń — ależ równie wielkie są te, jakie rodzice wobec dzieci swoich przyjmują. Dziecko nie prosiło ich o życie — i jeżeli rodzice losem jego przez miłość własną, przez zaniedbanie, przez niesprawiedliwość naganną, przenosząc jedno nad drugie, lub przez inne najnaganniejsze uczucia i namiętności pokierują nieszczęsnie, jeżeli mu cały zwichną żywot i dniom jego gorycz i niedolę zgotują — ach! to dziecko złorzeczy temu darowi życia, a na dawców dni jego ciężka spada odpowiedzialność.

Janku, jesteś rozsądny i zacny, kochasz matkę i siostrę — i na Tobie wielkie ciążą obowiązki, masz być podporą dla matki, a opieką dla siostry. Idźże przeto do matki, upadnij jej do nóg, przedłoż wszystko, proś, błagaj, by zaniechała zamiaru swojego, by go zaniechała, jako szlachetna matka dla szczęścia dzieci swoich!

Ty potrafisz tego dokonać — i serce matczyne Twojego posłucha głosu.

Jako opiekun Wasz, miałbym może maluczkie prawo przemówienia do niej słówka — lecz nie chcę ranić jej uczuć niewieścich, jej wrodzonej tkliwości, nie chcę z tego smutnego korzystać prawa.

Tobie łacniej to ujdzie, a co sobie w cztery oczy powiecie, tego nikt w świecie wiedzieć nie potrzebuje.

Bóg niechaj Cię oświeci!
Michał Swierzycki".

Pani Skaliniecka blada, jak mara, z uwagą list ten przeczytała, a potem na dawniejszem położyła go miejscu. Scisnęła dłońmi skronie i przez chwilę nieruchoma pozostała. Poczem znowu spojrzała na biórko — zadrgnęła — i drżącą ręką pismo pochwyciła syna; była to odpowiedź jego na powyższy list opiekuna.

Litery skakały przed oczami matki i różną mieniły się barwą, jak gdyby były z opalu wykute. Przebiegła pierwsze wyrazy ze drżeniem, jakoby we febrze — lecz niebawem złagodniał wyraz jej lica i tkliwemu rozrzewnieniu ustąpił.

Janek pisał:

„Najszanowniejszy Opiekunie.

Wiadomość odbrana, a nadspodziewana, zmartwiła i mnie do żywego, szczególniej ze względu na Zosię. Anim przypuszczał kiedy... ani przypuścić mogłem!..

Ależ, Opiekunie mój kochany! Skoro matka nasza w tym związku szczęście widzi swoje, to i ktożby jej chciał jakąbądź ku temu położyć tamę?! — Komuż służy takie prawo i ktożby je sobie chciał przywłaszczyć?! — Ktożby śmiał poczynić jej uwagi, któreby jej przyczyniły goryczy, któreby ją dotkliwie zraniły?! — Mój zacny Opiekunie, z pewnością nie *ja*, i to nigdy, *przenigdy!* — Jakżeżby syn miał przyganiać postępowaniu matki? Skądżeżby mi takie bezsercowe zuchwalstwo?.. Wybacz, Szanowny Panie, że w ten sposób się wyrażam, odpowiadając na Twoje poczciwe uwagi i życzliwość, płynące ze szczerego do nas przywiązania! Wybacz, bo pomnąc na wątpliwość szczęścia ukochanej matki — pomnąc na Zosię, serce się ściska i w głębi duszy boli. Kocham matkę całą siłą miłości dziecięcej i korzę się przed nią, jako przed ziemską świętością swoją — a nie mogę — nie chcę — nie powinienem i jednem przed nią zdradzić spojrzeniem, co w łonie dzieje się mojem — i jakżeżbym to w słowa zdołał przyoblec? — Nie, nie! I Zosia nie chciałaby tego — i *ona pragnie szczęścia matki* — i ona chętnieby dla niej swoje własne w ofierze przyniosła — boć i ona matkę zarówno ze mną kocha!.. Zosia moim jest aniołkiem i będę czuwał nad nią, czuwał nad jej szczęściem więcej, aniżeli nad swojem. Ufajmy więc w Bogu, że wszystko stanie się lepiej, aniżeli obecnie pozory straszą. Bóg kocha takie sierotki, jak nasza Zosia! Niechaj przeto jedynie Bóg dobry losami nas wszystkich kieruje"...

Na tem urwał się list Jana, który snać po powrocie z przejażdżki dokończyć go zamierzył. Biedny — dużo cierpieć musiał.

Pani Skaliniecka, czytając nakreślone przez syna wyrazy, gorącemi zalała się łzami. Potem ułożyła list znowu, gdzie leżał, biórko zamknęła — utuliła lice w dłoniach, łzy otarła i przeszła do swojego pokoju. Drzwi zamknęła za sobą — i na kolana przed obrazem matki Bożej upadła.

Po długiej dopiero chwili wyszła; była blada bardzo, a powieki miała mocno zrumienione. Zadzwoniła i oddała pokojowcowi list, by go bez zwłoki na pocztę zawiozł. List ten był do pana Runowskiego. Poczem lekki zarzuciwszy płaszczyk, udała się do ogrodu.

W pół godziny później wrócił Jan. Matka zobaczyła go z daleka i przywołała do siebie. Nadbiegł z pospiechem — był rumiany, snać szybką jazdą wzburzony. Ujął rękę matki i przycisnął ją do ust. Matka przytuliła głowę jego do piersi i pocałowała w czoło — oboje mieli łzy w oczach.

— Chodź, Janku, wymówiła spokojnie — przejdźmy się trochę.

— Zaraz, mateczko, zaraz przyjdę... tylko listu dokończę, który chcę dziś jeszcze na pocztę wyprawić.

— To później, później, moje dziecko!.. Chodź! i ujęła go pod rękę.

Janek dał się prowadzić, jak dziecko. Skłonił głowę, bo oczy jego były przepełnione łzami.

— Słuchaj, Janku! — zaczęła matka z niewysłowioną pogodą lica — jutro zacznę porządkować pokoik dla Zosi obok mojej sypialni, a potem pojedziemy po nią.

— Po Zosię? — młodzian spojrzał się nagle na matkę, a wyraz weselszy zapromienił w jego młodem oku.

— Tak jest, pojedziemy po nią oboje — uśmiechnęła się matka, a uśmiech ten był podobny do błysku słabego promyka zpoza chmury deszczowej, która zwolna przechodzi i jaśniejszy już odsłania błękit.

Janek znowu gorący pocałunek na jej ręce złożył.

— Zajmiemy się troskliwie dokończeniem jej wykształcenia — ciągnęła dalej pani Skaliniecka — uradzimy, jak będzie najlepiej... Ale do żadnego miasta z nią nie pojadę; zimę spędzimy w Zielęcinie, pożytecznie dla niej, a przyjemnie dla nas.

— Pomyślimy... uradzimy, poszepnął Jan, nie rozumiejąc zamiarów matki.

— Będzie nam dobrze pospołu... Ale wiesz — mówiła dalej po chwilowem milczeniu, przymuszając się do lekkiego uśmiechu, i pobladła znowu — czy wiesz... Janek poczuł, że nieco ciężej opierała się na ramieniu jego — czy ty wiesz, żem wielką niedorzeczność popełnić *miała?*

— *Niedorzeczność?* Ty, mamo! — zawołał syn.

— Tak jest, moje dziecko, *miałam* pójść za mąż — odrzekła jak najspokojniej.

Jan pochylił głowę, a serce mu zabiło, jak gdyby z piersi wyskoczyć chciało.

— Pan Runowski oświadczył się o moję rękę — mówiła dalej pani Skaliniecka bez najmniejszej zmiany głosu — ale... odpowiedziałam mu dziś właśnie stanowczo: *że dla was jedynie żyć pragnę.*

Stanęli właśnie za klombem drzew. Jan puścił rękę matki — rzucił się przed nią, objął jej kolana, przytulił się do nich i zapłakał, jak dziecko.

— Janku!.. dziecko moje! — zawołała matka głosem stłumionym.

— A jakby na *Amen* tej chwili uroczystej pomiędzy matką a synem ozwał się wśród ciszy przedwieczornej harmonijnie dzwon w kościołku wiejskim, wzywając na *Anioł Pański.*

Matka i syn pobożnie dłonie złożyli.

* * *

W kilka tygodni potem zajechała znowu landara przede dwór w Zielęcinie — i wyskoczyła z niej nasamprzód śliczna, młodziuchna dzieweczka, uścisnęła podającego jej rękę brata, powitała domowników radośnie, pogłaskała cisnące się pieski — i wesolutka, jak ptaszek, do sieni frunęła.

Matka wskazała ukochanej swej Zosince przeznaczony dla niej pokoik, ładny, świeży, ukwiecony — i dzieweczka nim zadość nie mogła się nacieszyć.

Następnie pobiegła do ogrodu — witała w nim każde drzewko, każdy kwiatek — i ucałowała maleńką Kasię ogrodnika, swoję ulubieniczkę; wreszcie powitała każdy zakątek domu, wszędzie było jej pełno.

A gdy potem do fortepianu zasiadła — zagrała — i milutkim głosem śliczną, swojską zaśpiewała piosenkę — ujęła matka, stojąca za nią, jej główkę i przycisnęła ją z miłością do serca. Podała rękę Jankowi i syn i matka znowu mieli łzy w oczach — tylko wiosenna dzieweczka tego rozczulenia zrozumieć nie mogła — jej tak było wesoło i błogo w młodem serduszku, przy mateczce i przy braciszku kochanym.

Sickierki w grudniu, 1862 r.

ŁAŃCUCH.

Czy słyszycie? młoty walą — tętni łoskot głuchy!
Tam na karki braci naszych kuje wróg łańcuchy;
Nowym ogniem rozgorzała piekielna kuźnica,
Smok ....ański krwawą paszczą straszny żar podsyca.

* * *

Czy słyszycie? wiatr od wschodu żałobnie szeleści!
Klątwy starców — groźby mężów — głośny płacz niewieści,
Skargi, zbiegłe z ust tysiąca, ku nam płyną razem,
Komu z bólu pierś nie pęka — byłby martwym głazem!

* * *

Takaż, ziemio starych Lechów, przypadła Ci dola?
Cudze chwasty zagłuszyły twoje żyzne pola!
Tam, nad Gopłem, kędy orzeł siadł na gnieździe biały,
Skąd żywotne chrztu krynice na kraj się rozlały,
Gdzie krzyż, ręką apostolską na wieczność zatkniony,
Cały naród szerokiemi ogarnął ramiony,
W kraj Lechitów obcy przybysz groźną chmarą pędzi
I wydziera ojcowiznę synom, piędź po piędzi!
Gdzie tknąć stopą, jak potworny polip, się rozrasta,
Depce hardo święte zgliszcza onej chaty Piasta,
Kędy Bożych posłanników kmieć nasz gościł miodem,
Zaczem ujął w dłoń poczciwą berło nad narodem,
Owo berło, co w Chrobrego żelaznej prawicy
Miało pomknąć pędem gromu, lotem błyskawicy,
Złączyć w jedność bratnie rody, pchnąć je w szlaki nowe,
Het! od Warty do Powiśla, po łoże dnieprowe!

* * *

Ziemio Piastów! nim smok paszczą z rąk cię polskich [wydrze,
Złączmy siły, stawmy czoło tej piekielnej hydrze,
Kraj nasz długi i szeroki, acz w kęsy zszarpany,
Wszak falują złotym kłosem nasze bujne łany;
Kto nie może sypnąć garścią, niech da jedno ziarno
W okup ziemi, niech poświęci tę siejbę ofiarną!
Wróg skrępował nasze barki potrójnym łańcuchem,
Lecz co znaczą twarde pęta, gdyśmy wolni duchem?
Byle wola z wolą zgodna, serce z sercem w zgodzie,
Nie zaleją nas germańskie, ni czudzkie powodzie:
Te łańcuchy, co nas wiążą, twardy topor skruszy,
Lecz żar święty, co wybucha z głębi polskiej duszy,
On ma siłę tajemniczą — przemoc go nie złamie!
Hej! pierś z piersią, serce z sercem! do ramienia ramię!
Skujmy łańcuch wiecznotrwały: niech każde ogniwo
Tchnie miłością i nadzieją i wiarą tchnie żywą,
Obok mężów niechaj stanie dziecko i niewiasta,
Taki łańcuch niech oplecie w krąg dziedzinę Piasta;
Siła jego cudotworcza moc piekielną zmoże!
Siostry moje, do łańcucha! dalej... w Imie Boże!

Seweryna Duchińska.

Wzajemna miłość

w wychowaniu szkolnem,

jej znaczenie, oraz środki budzenia jej u dziatwy

przez

Izydora Poechego,

byłego kierownika szkoły w Dąbrowie.

(Dokończenie).

Nauczycielu, bądź w traktowaniu młodzieży bezstronnym; co dobre i chwalebne (ale samo przez się), to zalecaj, chwal i nagradzaj, co złe i szpetne, jako zgniliznę, i chwast, bezwzględnie karz i wypleniaj. Doświadczysz tego nieraz, że ukarany sprawiedliwie, jeżeli nie teraz, to w dojrzalszym wieku błogosławić będzie twoję karzącą rękę. Nie powoduj się tutaj żadnemi osobistemi względami, nie rozpieszczaj, nie demoralizuj dzieci stronniczem ułaskawianiem, fałszywą dobrocią, bo grubo bezpowrotnie pobłądzisz! Doświadczenie bowiem uczy, że ten, który drugiego słowem szczerem, otwartem, a choćby pokutą sprawiedliwą ukarał, znajdzie więcej wdzięczności, aniżeli ten, który go słowem gładkiem, lub zbyt pobłażliwem oszukał. Tak sprawdzi się, co Paweł św. powiedział: „Kto miłość sieje, miłość zbierać będzie!“

Chcesz dalej, nauczycielu, zyskać miłość dzieci, dbajże o własną ambicyą. Wszak dziecko, miłujące ojca, pragnie w nim upatrywać osobę doskonałą, od ludzi szanowaną; ono rade, jeżeli widzi, że i ty, nauczycielu, dbasz o swój honor, swe dobre imie i tem bardziej cię pokocha. Miej tedy ambicyą, lecz nie z czczego tytułu nauczyciela, boby to było nietylko bezzasadną zarozumiałością, ale i śmiesznością, któraby prawe serca pacholąt od ciebie odstręczyła. Ambicya twoja niechaj się zasadza na prawości charakteru, dobroci serca dla bliźnich. Zarabiaj tedy sobie w życiu publicznem i prywatnem wszelkiemi siłami na uznanie i szacunek, używaj do tego li środków dozwolonych, godziwych: bądź dobrym ojcem, lub krewnym, wiernym przyjacielem, sumiennym panem, zgodnym sąsiadem, uczynnym bliźnim, bądź jednem słowym d o b r y m o b y w a t e l e m, wywalcz sobie w ten sposób szacunek i przychylność starszych, a niezawodnie pozyskasz miłość serc młodych. Kogo wszyscy kochają, do tego lgnie dziecko całą swą wrażliwą duszą.

Chcesz sobie miłość dzieci zjednać, nauczycielu, ulegaj sam przełożonym szkoły i pełń sumiennie ich wolę! Pamiętaj, co niegdyś rzekł pogański malarz Apelles: „Piękna jest cnota na obrazie, piękniejsza w naturze!“... Chcesz posłuszeństwa, sumiennej pracy, miłości i przywiązania do swej osoby od dzieci, wiedzże o tem, czego psychologia dowodzi, że dziecko -- to istota przeważnie bierna, a przykład wnika w nie, jak płyn w gąbkę... czem je otoczysz, tem nasiąknie na całe życie. Ulegaj władzom swoim ochotnie, szczerze, widocznie i bez żadnej rezerwy, szanuj i wypełniaj w oczach dzieci ich wolę; nie mów o nich i nie krytykuj głośno, lekkomyślnie dobroczynnych ich zleceń i przepisów,*) bo zasiejesz nieufność w młode serca, postradasz ich miłość i w zysku doświadczysz, że ci odpłacą tą samą oziębłością i lekceważeniem. Miej tedy ambicyą, nauczycielu, a będziesz ją miał, j e ż e l i s z c z e r z e, s u m i e n n i e b ę d z i e s z p r a c o w a ł w s w o i m z a w o d z i e. Wszak Salomon już powiedział, że „człowiek, pracujący gorliwie, nie wśród tłumu, ale przy panujących zajmie stanowisko i zjedna sobie miłość u ludzi.“ Umiłuj więc swój zawód i pracuj w nim sumiennie. Samem moralizowaniem szacunku sobie u dzieci nie wyjednasz, bo zdaniem Mickiewicza:

„W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę!“

Dla tego postępuj sobie tak, jak ludzie dawnych czasów, kiedy to jeszcze matki nasze mawiały: „Błogosław, Panie Boże, w komorze, oborze, na polu i w gumnie.“ — I błogosławił im Bóg wszędzie. Więc i ty, nauczycielu, wypełniaj sumiennie to, co dziatwie na tablicach wypisujesz: „*Ora et labora!*“ — tak jest, m ó d l s i ę i p r a c u j, w pracy proś Boga o pomoc. Pracuj sumiennie, pracuj ciągle, pracuj z ochotą, a zjednasz sobie miłość dzieci; bo taką pracą zjednasz sobie szacunek u ludzi, przyczynisz się do dobra uczniów. Już mądry Solon ustanowił prawo, że dzieci nie są zobowiązane starać się o rodziców, którzy im do chleba nie dopomogli. O ileż mniej mógłbyś ty, kolego, żądać od dzieci m i ł o ś c i, gdybyś sobie na nią sumienną w zawodzie pracą nie zarobił.

Göthe powiedział:

„Die Zeit ist unendlich lang und jeder Tag ein Gefäss, in das sich sehr viel eingiessen lässt, wenn man es wirklich ausfüllen will“.

Korzystaj tedy z czasu mądrze i nie zrażaj się trudami i przeciwnościami, lecz pamiętaj na słowa:

„Krzątaj się tylko, pracuj siłą własną,
Pnij się wzwyż ścieżką skalistą, i ciasną;
A co wzbogacił kwiat nad Salomona....
D z i e ł a d o k o n a.“

Chcesz sobie zjednać miłość u dzieci, żyj w zgodzie z kolegami, nie bądź obojętnym dla rodziców twej szkolnej dziatwy w postępowaniu wszelakiem b ą d ź s t a n o w c z y m.

„Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.“ Niewinne i niepopsute serca dziecięce ze czcią i widoczną przyjemnością widzą serdeczne związki między starszymi, którzy ich obchodzą, pragnęłyby nawet pośredniczyć w tych związkach. Ich niewinne oczy z rozkoszą patrzą na znajome starsze osoby, które z sobą zgodnie, przyjacielsko żyją. A jeżeli gdzie, to w szkole rzeczą jest ogromnej wagi, by między nauczycielami panował sojusz szczery, prawdziwa harmonia! Nauczycielu, niechaj tylko uczniowie twoi widzą twe otwarte, życzliwe postępowanie z kolegami, bądź pewnym, że cię wysoko cenić i kochać będą; bo kto starszym dotrzymuje wiary, ten ich serca ośmielił, do siebie pociągnął. Biada tej szkole, w której między nauczycielów wkradła się nieufność, lub, co gorsza, nienawiść; biada nauczycielom, którzy tym kwasem trują serca pacholąt. Gdybyś miał mądrość Salomona, najwyższy dar maskowania się, dzieci przeczują twą winę i odwrócą twarz i serce od ciebie. Bądź stanowczym zawsze w działaniu, aby serca dzieci, jak wątłe bluszcze na dębie, mogły się oprzeć na tobie, bo słabsi lgną do mocniejszych. Mając, jako nauczyciel, częste z rodzicami szkolnej dziatwy stosunki, okazuj im życzliwość i interesowanie się ich dolą i biedą; wspieraj ich, gdzie możesz, dobrą radę, słowem pociechy, a nawet środkami materyalnemi, bo dzieci przyjacioł, dobrze ich rodzicom życzących, łacno i szczerze pokochają. O ile możesz, zaradzaj niedostatkowi, potrzebom biedniejszych uczniów; w zakresie dozwolonym jednaj dla nich u ludzi szlachetnych, dobrocznynnych łaski i datki i zasilaj niemi biedne, lub osierocone dzieci. I ty sam, nauczycielu, choć często znajdujesz się w położeniu Tantala, ufając tej dobrotliwej Opatrzności, „co karmi ptaki powietrzne, które ani nie sieją, ani zbierają,“ co przyodziewa blaskiem i przepychem lilie na puszczy — nie lękaj się uszczerbku wielkiego, lecz, czem możesz, obdarz jednego, lub drugiego z twoich małych proletaryuszów. Podarowany rysik, lub pióro, arkusz papieru, lub bułka chleba sierocie zjedna ci może dozgonną wdzięczność i miłość nietylko obdarowanego, ale całej klasy, wszystkich dzieci.

Chcesz w końcu, nauczycielu, zyskać sobie miłość u dzieci — nie zaniedbuj przedsiębrać z niemi rozrywki,

---

*) Odnosi się do stosunków galicyjskich. (P. R.)

wycieczki w pola, góry i lasy. Użyczanie takich niewinnych uciech dzieciom, wpośród których (zrzuciwszy charakter poważnego nauczyciela) stajesz się przyjacielem, a nawet młokosem, dzieckiem wobec pięknej, ludzkie serce do łagodnych uczuć nastrajającej przyrody — jest dla nauczyciela bardzo, bardzo ważnym środkiem do jednania sobie miłości u dzieci.

Jedna taka majówka, odbyta w ich kole, jedna pustota niewinna na jej karb przez ciebie zaimprowizowana, jedno przepatrzenie z niemi lasu, łąki, krajobrazu, jedno zagranie w piłkę, lub w „kotka i myszkę“ nietylko cię obdarzy tysiącami głośnych wiwatów, uścisków, ale zjedna ci trwałą, nigdy niewygasłą pamięć i miłość. Nie jest to nakręcony paradoks, ale niezbita, w wychowaniu bardzo ważna prawda, o której dawna i nowa prawi pedagogia.

Ta oto jest w głównych zarysach droga, wiodąca do serc szkolnych pacholąt; a prawdziwie miłujący dziatwę nauczyciel znajdzie jeszcze w swem urzędowaniu i w dziennem z dziećmi obcowaniu mnóstwo momentów i sposobności do pozyskania sobie ich szczerej i trwałej miłości i przywiązania, które są warunkiem pomyślnych w nauce i wychowaniu rezultatów.

KONIEC.

Ignacy Domejko.

„Otoż świat ten opuścił ostatni z celi Bazyliańskiej współbiesiadnik, ostatnie ziarnko z owej garstki żyta w rów wsypanej“— tak mówi Aleksander Walicki w życiorysie Ignacego Domejki, ostatniego Filomata i przyjaciela Adama Mickiewicza. Jakkolwiek żył na drugiej półkuli, pracował pod obcem niebem — właśnie pracą tą rozsiewał blaski polskiego imienia po całym świecie cywilizowanym, świadcząc o żywotności narodu i zbijając niejako zdanie, jakie o Polakach nieprzychylni utworzyli.

Działał on w myśl Wincentego Pola, w myśl jednej z pieśni Janusza:

„O! polska kraino, gdyby ci rodacy,
Co za ciebie giną, wzięli się do pracy,
I po garstce ziemi z ojczyzny zabrali,
Jużby dłońmi swemi Polskę usypali“.

Wziął z Litwy ukochanej garść owę ziemi w postaci nauk, zasad i przekonań, i w antypodach aż, w Chili, zasadził na niej zdrowe ziarno, wydające słodkie owoce — wybiegając ciągle marzeniem poza góry, lądy, rzeki, przez mgły sine i dalekie przestworza — do kraju, gdzie pragnął „chociażby o kiju, ociemniały i głuchy doczołgać się“ dla złożenia kości swoich.

Tęschnotę tę objawia we wszystkich listach, pisanych do przyjaciół i znajomych, a w dzienniku z 24 grudnia 1843, mówi:

„Jutro święto Bożego-narodzenia; największe święto od stworzenia świata, zapowiedziane przez proroków — zbawienie rodu ludzkiego.

Dziś łamią opłatek w domu; niejedno oko załzawią wspomnienia o tych, co umarli, co odjechali — miękkie siano pod obrusem, niezliczona rozmaitość potraw.

Dwunaste Boże-narodzenie obchodzę za krajem; mieszkam na drugiej półkuli świata, nie mam do kogo przemówić ojczystym językiem. Połowa ludzi, co mię kochali, wymarła; druga połowa może zapomniała — „pamięć nie w naszej mocy.“ Zaszłaż jaka odmiana we mnie? — Kocham dziś mniej kraj i rodzinę? Wyszłoż na dobre dla duszy tyle cierpień, tęschnoty, przygód, tyle bieganiny po długim gościńcu pielgrzymstwa, którego końca nie widać?

Czegom się nauczył, o czem się przekonałem, co widzę, jak na dłoni, to jedno, że człowiek mało co z siebie dobrego wymyśli, jeżeli się nie umocni w wierze i nie oprze na słowie Bożem; zasługa polega na onej nieustannej walce, jaką musi prowadzić z sobą, ze skłonnościami ku złemu; a srogiż to nieprzyjaciel, co krok w krok idzie za człowiekiem, nie spuszcza go z oka, pochlebia mu i grozi.

Prawdziwa mądrość nie jest z tego świata. Dziecko, pieszczota matki, widzisz, jak wyciąga rączki do nieba: mędrsze jest od wielu astronomów, naturalistów, filozofów, co w całej przyrodzie widzą tylko ruch i materyą; od tych fachowych mędrców, co dają naukę na lichy dla ciała posiłek, a Boga nie znają. Doświadczenie, znajomość ludzi i dalekich krajów o tyle tylko przydadzą się, o ile zdolne są przeświadczyć, że właśnie człowiekowi, co ma siebie za najdoświadczeńszego z ludzi, z największą należy ostrożnością chodzić.

Dla tego wszystkiemi siłami starać się powinniśmy o ustalenie wiary; prosić o jej pomnożenie u Boga w prostocie serca, jak dzieci proszą o chleb ojca; a nie marnować rozumu na próżnych wnioskach i wymysłach ludzkich, na których schnie i kamienieje dusza“.

Urywek powyższy lepiej charakteryzuje człowieka, niż wszelkie omówienia, dla tego przytoczyliśmy go na wstępie.

Ignacy, lub Żegota — jak wyrażano się po staropolsku,— Domejko urodził się w powiecie nowogrodzkim, nad brzegiem Uszy, w Niedźwiadce, 22 sierpnia, 1801 r., z ojca Hipolita i Karoliny z Ancutów Domejków. Początkowe nauki pobierał w domu i dopiero 1812 został oddany do szkół pijarskich w Szczuczynie — skąd już 1816 udał się na uniwersytet wileński. Byli tam wtedy znakomici profesorowie, jak: Jan i Jędrzej Śniadeccy, Poliński, Jundziłł, Niemczewski, Gołuchowski i Lelewel. — Pod ich kierunkiem ukończył wydział fizyczny i matematyczny, kształcąc się oprócz tego w innych naukach, i należąc do stowarzyszenia Filomatów i Promienistych. Z tego czasu datuje się przyjaźń jego z Adamem Mickiewiczem, utrwalona później na emigracyi w Dreźnie i Paryżu.

Po rozwiązaniu stowarzyszeń i po wyjściu z celi Bazyliańskiej Ignacy Domejko wziął w dzierżawę od bogatego stryja Ignacego, mineraloga, folwark Zapole, należący do Zyburtowszczyzny, i tu rozgospodarował się całą duszą według systemu najnowszego, mało wówczas jeszcze znanego na Litwie; wcale więc nie był znudzony, jak mniema 1829 r. Julian Korsak, piszący doń z Petersburga:

„Może znudzony trudem rolniczej mozoły
Zazdrościsz mi, że w mieście pędzę czas wesoły?

. . . .

Z tem wszystkiem mój tu w mieście pobyt niejałowy,
Nieszczupły zbieram zapas do naszej rozmowy,
A gdy nowy cel jaki chęci mych nie zmieni,
Wrócę na wieś z początkiem następnej jesieni.
Tamto, luby Ignacy, po długim rozdziale
Z upragnieniem pomówim z sobą poufale.“

Lecz idylla ta kończy się r. 1830. Ignacy Domejko wraz z oddziałem swoim przekracza granicę pruską, w następstwie czego zostaje osadzony kolejno w twierdzy Gerdauen, Piławie i Rastenburgu.

Stamtąd, wypuszczony na wolność, udał się do Drezna i do Paryża — gdzie zapisał się do „L'école de mines.“ — W r. 1837 ukończywszy chlubnie szkołę górniczą, otrzymał posadę rozbiorcy rud żelaznych w Alzacyi u braci Koechlin — jednak czynność ta była dlań niewystarczającą, gdyż już r. 1838 na polecenie profesora Dufresnoy z wielką

radością przyjął propozycyą rzeczypospolitej chilijskiej, pragnącej w mieście Coquimbo założyć szkołę chemii i mineralogii — i 2 lutego 1838 r. wyjechał z Europy.

W Chili rozpoczyna niespożytą działalność swą, trwającą całe pięćdziesięciolecie; zostaje profesorem nauk przyrodniczych — ojcem niejako średniego i wyższego wykształcenia, a oddaje się ulubionej pracy z całym zapałem, kojąc tem tęschnotę za ziemią rodzinną i przyjaciołmi. — W r. 1840 ukończył pierwszy kurs wykładów z wielką korzyścią słuchaczy; zajął się więc urządzeniem gabinetów: zoologicznego, chemicznego, mineralogicznego i fizycznego — oraz badaniem pokładów Kordylerów, ogromne bogactwa mineralogiczne posiadających, przy czem wypracował memoryał kształcenia młodzieży wedle planu filomackiego, a gdy ten został przyjęty, ułożył podręczniki szkolne.

Po sześciu latach gorliwej czynności zapragnął opuścić Amerykę na zawsze. Ale właśnie podczas podróży jego po Arkadyi pożar zniszczył cały dom, rękopisy i laboratoryum szanownego profesora — rozpoczynać zatem wszystko musiał na nowo, ażeby zostawić „jakiś ślad — pamiątkę pracy swej,“ na obczyznie.

Wkrótce potem, gdy dwaj najzdolniejsi uczniowie, wysłani do Europy dla wykształcenia się w chemii i metalurgii — wrócili z najlepszemi świadectwami, Domejko odstąpił im swego miejsca — co zachwyceni Chilijczycy przyjęli z wdzięcznością, ofiarując mu nawzajem podwyższenie pensyi z przeniesieniem do stolicy, oraz zbadanie wód w kraju.

W Santjago 1847 został mianowany profesorem chemii i mineralogii, a r. 1867 rektorem uniwersytetu; dopiero w 1883 r. usunął się w stan spoczynku z pensyą dożywotnią 6000 piastrów rocznie.

Znanym był w Chili powszechnie. — Występował jako rozjemca w sprawach kopalnianych, jako górnik praktyczny, badacz sumienny, a niezmordowany.

Po przybyciu do Santjago w lat kilka Ignacy Domejko kupił sobie piękny dom z ogrodem o pół mili od środka miasta, gdzie zasadził owe po dziś dzień kwitnące palmy, magnolie i inne drzewa tamtejszej Flory. — Zapragnął teraz spokoju i ciszy, a otoczywszy się ascetycznymi pisarzami, jak: Fray Luis de Granada, św. Teresa, autor „Demonstrations ewangéliques“, i inni — żył zadowolony i pewny siebie, jakoby w celi klasztornej. Wszelako Amor, psotnik, ciszę tę postanowił zamącić. — Opodal jego siedziby podobny dom zamieszkiwała liczna rodzina hiszpańska, pan Satomayor, ożeniony z p. Gurman. Dzieci śmiały się i swawoliły dzień cały, przybiegając często do ogrodu sąsiada. — Najstarsza z nich, śliczna, piętnastoletnia panienka miała zaślubić młodego, bogatego sąsiada, tymczasem nagle stanął inny sąsiad, pięćdziesięcioletni Ignacy Domejko, i 12 lipca 1850 r. wprowadził śliczną, młodą żonkę do swej posiadłości.

Z małżeństwa tego pozostało troje dzieci. — Herman, ksiądz w Santjago — Kazimirz, inżenier górniczy i profesor akademii w Chili — i córka zamężna za Leonem Domejko, właścicielem Lubartowszczyzny na Litwie.

W r. 1883 po latach pięćdziesięciu trzech powrócił Ignacy Domejko do kraju — lecz niezadługo przedsięwziął pielgrzymkę do ziemi świętej, a odbywszy ją z wszelkiem powodzeniem, jeszcze raz chciał udać się do Ameryki w celu ukończenia niektórych interesów, poczem w ojczyznie spokojnie miał oczekiwać śmierci.

Pisze też 5 września 1888 do Maryi Góreckiej, córki Mickiewicza do Krakowa, serdeczny list z pożegnaniem, żałując, iż musi jechać na Berlin i do Krakowa zboczyć nie może.

„Czy jeszcze kiedy się zobaczymy? — pyta. — Mnie już i nie przystoi prosić za wiele u Pana Boga. Ale u Boga nic nie jest za wiele: to wolno prosić, a nuż może pozwoli za jakie dwa lata, chociażby o kiju, ociemniałemu i głuchemu doczołgać się znowu do swoich.“

Jednakże w podróży zasłabł bardzo, tak, iż w pierwszym porcie chilijskim Talcamore kazał się wysadzić i dopiero, wypocząwszy, powrócił do Santjago, gdzie oczekiwał go ogród ulubiony, pełen woni i drzew, sadzonych przed laty. — „Trudno wam dać do pojęcia — pisze do dzieci w grudniu 1888 r. — jak mnie nasz ogródek bawi, a ciepło, które niekiedy do 30 dochodzi stopni, pokrzepia i ożywia. Ani jedno drzewo, ni krzak, ni słabsza nawet roślina z tych, co zasadziłem i zostawiłem, nie zaginęły. Pomarańcze przekwitły, ale cały dom i ogrod przepełnione są zapachem kwiatów datury, magnolii, lilii białych i dyamelu błękitnego. Z owoców wielka obfitość hisperów i nieco białych czereśni dojrzałych, ale mało będzie brzoskwin, fig i moreli; na kilku bardzo wysokich i rozłożystych drzewach zaledwie dostrzedz gdzieniedzie renklodę, i szpalery nasze winogradowe nie obiecują wiele, za to bzu rozmaitego gatunku będzie podostatkiem.“

„Mimo radości tej nigdy w życiu nie byłem tak chory, jak po tej żegludze, i dotąd jeszcze jestem do niczego“ — donosi Władysławowi Mickiewiczowi — równie i do prezesa Majera pisze 15 stycznia: „Nie dobrze zacząłem rok nowy. Dotąd nie mogę przyjść do siebie po 40 dniowej żegludze; nie wychodzę z domu i z mego ogrodu. — Był to sen miły dla mnie ostatni pobyt mój w Krakowie; widzę go teraz ciągle w przypomnieniu we dnie i w nocy, dodaje sił do wyzdrowienia. Niemałą też osłodą w starości jest teraz dla mnie miłość i uprzejmość, z jaką powitał mnie lud chilijski, jego ciepłe i błękitne niebo i stare moje palmy i magnolie, które za młodu sadziłem, a w których cieniu znajduję dziś odpoczynek.“

List ten doszedł już adresata po śmierci autora — która 23 stycznia 1889 w Valparaiso przyjęła go w objęcia swoje. Zmarł cicho i spokojnie, chociaż żyć pragnął jeszcze.

Praca jego literacka wynosi przeszło 130 tomów — pisał po hiszpańsku i po francuzku. — W polskim języku kilka rzeczy drukowała „Kronika rodzinna“ w r. 1876—1882—1883—1884—1885 i 1889 („Pamiętnik.“) — „Przegląd lwowski“ 1872 — „Wędrowiec“ 1871 — „Czas“ 1857 — niektóre jak „Araukania i jej mieszkańcy“, „Filareci filomaci“ i t. d. wyszły osobno. — Z pism Sw. Teresy tłomaczenia są w rękopisie.

TEATR.

Z radością zapisujemy, że benefisowe przedstawienia tegoroczne z jednej strony doznają wielkiego poparcia publiczności, z drugiej zaś odznaczają się starannym wyborem sztuk, wśród których jedno z pierwszych miejsc zająć może komedya B a r i e r a i T h i b o n e t'a „Na łasce zięcia“, grana w dniu 16 marca na benefis p. C z a p l i ń s k i e j, artystki, która od początku sezonu umiała sobie zdobyć swą wielce staranną grą oraz sympatyczną powierzchownością względy publiczności, czego najlepszym dowodem był jej benefis, który zapełnił teatr po brzegi.

Utwor sceniczny, „Na łasce zięcia“ odznacza się żywą akcyą oraz oryginalnością pomysłu; komedya ta daje poznać widzom, jak ten „beau - père,“ zrujnowany z własnej winy, dokuczać umie swemu zięciowi, zakłócając mu swemi nienaturalnemi wymaganiami spokoj jego domowy i szczęście małżeńskie

Role Beliama, Montoneta i Onezyma, owe charakterystyczne i komiczne postacie komedyi, spoczywały w rękach panów **T r a p s z y, P o p ł a w s k i e g o i S t a s z e w s k i e g o** i zostały wykonane ze wszech miar zadowalająco. P. Staszewski, młody artysta, dowiódł nam, że posiada talent do tego rodzaju ról, a przy pracy i dobrym kierunku bardzo pożytecznym artystą stać się może dla sceny naszej. Beneficyantka w roli córki Beliama utwierdziła nas w przekonaniu, że jest artystką zdolną, pracowitą, zasługującą na względy publiczności; przedstawiła nam bowiem młode, naiwne dziewczę, niepojmujące życia ze strony realnej, z takiem zrozumieniem i taką finezą, że kreacyi tej tylko trzeba było przyklasnąć.

Inne role wykonane zostały z należytem zrozumieniem, elegancyą i humorem.

W dniu 20 marca przedstawiono komedyą: „Ogniowe próby“ przez autora „Szambelanów“. Tak w jednej, jak i w drugiej komedyi, na wskróś eleganckiej i przyzwoitej, daje nam p. **W d o w i s z e w s k i** obraz prawdziwy z życia, wzięty ze stosunków galicyjskich.

Karol Kałuski, (p. Skirmunt) młodzieniec pełen werwy i ognia, odziedziczywszy majątek, puszcza się z całym zapałem w wir życia lwowskiego; przypadkiem poznaje tamże panienkę młodą, powabną, pełną zalet serca i umysłu, Helenę (p. Janowska), córkę profesora Morskiego, o którą się oświadcza. Helena jednakże pomimo wzajemności odrzuca rękę Karola, widząc w nim człowieka lekkomyślnego, pojmującego życie tylko ze strony zmysłowej.

Karol, niepocieszony po utracie Heleny, wraca na wieś, aby pracą usilną powetować to, co przez lekkomyślność utracił, to jest szacunek i wiarę ludzi. Po zwalczeniu wielu przeciwności, przez wytrwałą pracę osięga cel, podwaja majątek, staje się mężem pełnym zasług, obywatelem, przez wszystkich szanowanym i cenionym; sąsiedzi jego, chcąc mu dać dowód szacunku i zaufania, jakie w nim pokładają, oddają mu krzesło poselskie.

Pomimo pracy i ciągłego zajęcia miłość ku Helenie nie zgasła w sercu Karola, potrzeba tylko iskry jednej, a wybuchnie znów w całej swej sile.

Tajemnicę Karola zna przyjaciel jego, inżenier Zabielski, (p. Janowski), zatrudniony przy eksploatacyi nafty. Za pomocą podrobionego listu sprowadza dalekich krewnych Kałuskiego pp. Buzdynieckich (pp. Trapszo, Królikowska) wraz z córkami Anielą (p. Czechowicz) i Rózią (p. Morska) a których nauczycielką jest Helena.

Zabielski, przez najrozmaitsze niewinne intryżki, jak udane staranie się o rękę Heleny, wzbudza zazdrość w Karolu i dopomaga w ten sposób przyjacielowi do pozyskania utraconego szczęścia w związku z jedynie ukochaną. Oprócz tej pary łączą się jeszcze dwie inne węzłem dozgonnym.

Najkomiczniejszą postacią w komedyi jest profesor Więza (p. Popławski) opierający wszelkie kwestye na prawach natury. P. Popławski uwydatnił znakomicie w swej kreacyi tego pedanta nieporadnego, a choć wykształconego, pozbawionego wszelkich form towarzyskich.

Radzca Buzdyniecki pana **T r a p s z y** był wybornym mężem-pantoflem swej żony. P. Skirmunt, jako bohater sztuki, uwydatnił gruntownie tę szorstkość w obejściu i ten hart duszy człowieka, który cały dziesiątek lat strawił na wytrwałej pracy zdala od świata.

Równie dobrze wywiązał się p. Janowski z roli Zabielskiego, dzielnego młodzieńca, gotowego poświęcić się dla przyjaciela swego.

Inne role wdzięcznie i starannie odegrane zostały.

Ż

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Akademia paryzka uwieńczyła piękny, poetyczny utwor konkursowy radykalnego deputowanego, **C l o v i s a H u g u e' a**, przyznając mu pierwszą nagrodę. Autor w dowcipnym i pełnym wdzięku liście do p. Kamila Doucet'a, sekretarza akademii, zaznaczył, iż wcale nie myślał ubiegać się o nagrodę i dopiero w ostatniej chwili, pod wpływem natchnienia napisał swój poemat. Akademia niejako w odpowiedzi zastosowała do niego ewangeliczną przypowieść o robotnikach, co choć przyszli ostatni, wzięli zapłatę.

Madryckie ilustrowane czasopismo p. t. „La illustracion Espanola y americana“ zamieściło portret pani Sembrich-Kochańskiej wraz z biografią artystki pełną uznania dla jej talentu.

Angielskie czasopismo, „The Temple bar Magazine“, zamieściło w grudniowym zeszycie artykuł o polskich artystkach i artystach dramatycznych. Pochlebnie ocenieni tam zostali: panie: Modrzejewska, Kochańska, Dowiakowska, Lüdowa, Marcello, Niewiarowska, Wisnowska i panowie: Mierzwiński, Reszkowie, Kotarbiński, Leszczyński, Ładnowski, Tatarkiewicz, Żółkowski.

Losy Zakopanego mają się niedługo rozstrzygnąć. Po unieważnieniu ostatniej jego sprzedaży przez sąd krajowy ma nastąpić nowa relicytacya. Aby ocalić ten uroczy zakątek i wydobyć go z rąk niepowołanych wyzyskiwaczy, tworzy się w Galicyi stowarzyszenie akcyjne, którego członkiem można zostać, składając 100 guldenów. Oby się powiodły szlachetne zamiary stowarzyszenia! Powszechne jest pragnienie, aby Zakopane nabyło „Towarzystwo tatrzańskie“, dotychczas jednak jest ono za ubogie, aby urzeczywistnić podobne marzenie. Ktokolwiek nabędzie Zakopane, zrobi pod każdym względem dobry interes, lasy bowiem miejscowe przy odpowiedniej gospodarce mogą być źródłem ogromnych zysków. To też szlachetnie myślących patryotów usiłowaniem jest, aby, jeśli Zakopane nie może się dostać w posiadanie odpowiednio zorganizowanej spółki — dostało się przynajmniej do uczciwych rąk prywatnych.

Uczona Angielka, panna Amelia Edwards miała tej zimy w Manchestrze odczyty o sztuce egipskiej. Rozróżniała w niej kolejne szkoły i epoki od czasów przedhistorycznych do chwili, w której ta sztuka rodzinna przekształciła się pod wpływem Grecyi. Według wywodów p. Edwards niczem są najstarożytniejsze zabytki wobec ruin olbrzymiego sfinxa w Gizeh. Uczona prelegentka odnosi budowę owego sfinxa do odległości 10,000 lat.

Wieża Eiffel, owa nowożytna Babel, wznosząc się coraz wyżej, dosięgła już 275 metrów; jest to wysokość, jakiej dotąd nie dobiegła żadna w wszechświecie budowla. Obserwatoryum, mające stanowić szczyt wieży, służyć będzie do badania zmian atmosferycznych. Badania te wytłumaczą może i fakt, stwierdzony przez Kamila Flamariona, że od lat kilku normalna temperatura znacznie się obniżyła.

Juliusz Claretie zaliczony został w ostatnim czasie w liczbę *nieśmiertelnych*. Jest podobno *w dobrym tonie*, gdy nowo przyjęty okazuje na wstępie pewne onieśmielenie i zmieszanie; ma to być rodzaj hołdu, oddanego przybytkowi *nieśmiertelnych*. To też zręczny Juliusz Claretie nie zaniedbał tego aktu grzeczności i uszanowania. Stłumionym głosem rozpoczął swą mowę, a nawet kartki rękopisu widocznie drżały w jego wzruszonej dłoni. Mimo tego wzruszenia a może dla tego właśnie olśnił i zachwycił całe audytoryum. Powitalna odpowiedź **E r n e s t a R e n a n a** nie ustępowała w niczem wymowie nowoprzyjętego. Pomny niezapomnianych dotąd zajść z Daudetem, porównał zręcznie i dowcipnie niechęci aspirantów i odrzuconych do sporów zakochanych, u których gniew stanowi miarę miłości. — W dalszym ciągu — między innemi —

mówił przeciw projektowi obchodzenia stuletniej rocznicy wielkiej rewolucyi: „Obchód stulecia jest apoteozą — to za wiele!“ —

Promyki.

Zebrała Marya Adamska.

Szczęście to lekka i płocha dziewica,
Co się na miejscu długo nie zatrzyma,
Odgarnie włosy, ucałuje lica,
Poleci dalej — i więcej jej nie ma.

Ale nieszczęście to stara matrona,
Która się odejść wcale nie sposobi,
Silnie do swego przyciśnie cię łona,
Siądzie przy łóżku i pończochę robi.
Heine.

Jedno jest szczęście s e r c a, kiedy kochać może,
Gdy ma komu zaufać i wierzyć bezpiecznie;
Jedno jest szczęście d u c h a, gdy wolny ku górze
Wzleci i światłem niebios odetchnie słonecznie.
Odyniec.

Jedyne serce matki tak kochać umie, jak Bóg kocha dzieci swoje; jedyna to miłość, co nie rachuje na odpłatę, nie chce nic dla siebie, nie pragnie chluby, nie targuje się z ofiarami; cicha, łagodna, niezmorzona, wielka — trwa do końca. Niewdzięcznością odpłacona — płacze, ale przebacza; odepchnięta — powraca, zdradzona — wzmaga się, życie traci i poza grobem jeszcze promienieje. Kraszewski.

Życie ludzkie na dwie się dzieli połowy: w pierwszej tęschnimy do tego, c o b ę d z i e, w drugiej żałujemy tego, co b y ł o. Alfons Karr.

Wielkość człowieka spoczywa w sile jego duszy.
August Cieszkowski.

Podobieństwo między wieżą a panienką: obie, aby być piękne, muszą być smukłe, lekkie i proste, tylko, że wieża powinna być mocniejszą od panienki, a panienka przystępniejszą od wieży, bo wieża buduje się dla niezdobycia, a panienka — przeciwnie, dla wzięcia. Odyniec.

Przeczucie — światów ogniwem,
Przeczucie — mędrców podziwem,
Przeczucie — kluczem poety,
Przeczucie — skarbem kobiety.
Deotyma.

HUMORYSTYCZNE
(przez Maryą N. z N.)

Żonka: Nie ma nic gorszego, jak gdy się z a m ł o d u mężowi rogów nie pokaże.
Mąż: Marylko najdroższa, mam prośbę do ciebie.
Żonka: Czy wielką?
Mąż: O! tak, abyś swe różki n a s t a r o ś ć zachowała.

Mama: Synku, nie trzymaj rączek w kieszeni, bo to tylko burmistrze tak robią.
Synek: (wyjąwszy rączki z kieszeni — po namyśle.) — Proszę mamusi, czy ten pan, co był wczoraj u taty, jest burmistrzem?
Mama: Dla czego, kochanie?
Synek: Bo przez cały czas, jak rozmawiał, nie wyjął rąk z kieszeni.

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI
w n. 9 „Domu polskiego“:

1. Romulus. — 2. Erato. — 3. Jundziłł. — 4. Teokryt. — 5. Atanazy. — 6. Nieśmiertelnik.

Rejtan. — Sołtyk.

Rozwiązanie szarady

Nieborak.

Dobre rozwiązanie nadesłali: panie: Antonina Bronikowska, Stefanowa Żupańska, Marya Adamska, Stella Kozłowska i Stefania Szurmińska z Poznania; panowie: E. Konarski i Dobrogost Lossow z Poznania; pp. Marya Czapska z Barda, Zofia Laskowska ze Środy, Marya i Bolesław Nieżychowscy z Nowego, Teofila Zielińska z Lublińca.

Zadanie konikowe

ułożył **Kazimirz A. A. K. ze Środy.**

ły	do		z to	dzik		ka	a
dzi	ko	śmia	ły	pa	pu	tam	po
śnik	przez	ro	ry	nał	my	je	szcza
wi	ny	wa	jel	wy	dło	łoś	cha
za	le	ska	sta	je	słu	mi	wie
i	ska	gę	gdzieś	ni	po	u	skiem
stwią	i	o	cze	ka	czy	trząc	żubr
gni	sze		ki	wilk		ry	ro

Za dobre rozwiązanie nagroda.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.